



## KAZIMIERA JAWORSKA

---

Ochotniczka Kazimiera Jaworska, 43 lata (1900), urzędniczka administracji wojskowej, panna.

---

Aresztowano mnie we własnym mieszkaniu, przy ul. Mickiewicza 6 w Grodnie, w nocy z 20 na 21 marca 1940 roku. Po dwugodzinnej rewizji, zabranie map, dokumentów osobistych i notesu kazano mi iść, zabraniając brać cokolwiek ze sobą. Pierwsze śledztwo przeprowadzono po 20-godzinnej oczekiwaniu w izbie zatrzymań NKWD. Wtedy zakomunikowano mi, że jestem oskarżona o należenie do Polskiej Organizacji Wojskowej, agitację, terror, chęć oderwania Białorusi od ziem sowieckich i szpiegostwo. Oskarżenie poparto znalezionym u mnie dowodem – prawem posiadania broni, przedłużonym na czas wojny, planami Rzymu, Neapolu i Berlina, paszportem zagranicznym do Włoch z roku 1937 i drobnymi notatkami z podróży. Powiedziano mi również wtedy, że jestem aresztowana i do czasu wyjaśnienia śledztwa mam być zamknięta w więzieniu. Po bardzo szczegółowej rewizji i zabranie mi cennego zegarka (którego mi nie zwrócili), wprowadzono mnie do celi 9, gdzie zastałam 16-letnią harcerkę, złapaną na rozklejaniu odezwy [wzywającej do] bojkotu szkoły sowieckiej. Po tygodniu wysłano mnie pod ścisłym nadzorem do Mińska. Tam zostałam zamknięta w więzieniu głównym (dawny pałac kniaziów Szujskich) w celi 54. W piwnicach dwu- czy trzypiętrowego gmachu znajdowały się ciemnice, karcery i pokoje *sliedowatieli*. Śledztwo trwało 10 miesięcy. W międzyczasie zmieniałam gmach główny na boczną oficynę, poznałam kilka innych cel i wreszcie, osądzona zaocznie na osiem lat obozów pracy (*isprawitielno-trudowyj łagier*), wywieziona zostałam do *Karłagu* (*Karagandyjskie łagiera*). Podróż trwała około miesiąca, zanim przyjechaliśmy do Karabasu, stacji rozdzielczej więźniów, skąd po paru tygodniach wysłano mnie do Prystorny. Przypadkiem czy też celowo oderwano mnie od Polek i wpadłam w towarzystwo kobiet rosyjskich, osądzonych przeważnie za różnego rodzaju przestępstwa pospolite jak kradzież, prostytutka, *proguł* itp. Kilkanaście godzin jazdy pociągiem, potem pieszo, głodno i chłodno,

po błotach i bezdrożach doszliśmy do punktu łagier Burma. Znowu tydzień postoju o chlebie i wodzie, gdyż na skutek wiosennych roztopów droga była nie do przebycia. Wreszcie, brnąc po kolana w błocie, dostaliśmy się na miejsce przeznaczenia. Z końcem maja 1941 roku wysłano mnie na niezbyt odległą fermę hodowli owiec, a w dwa miesiące później ściągnięto karnie z powrotem i oddano pod *konwojkę*. Za co? – dotychczas nie wiem. Prawdopodobnie dlatego, że w końcu sierpnia miałam być zwolniona, więc dla pełnego *pieriewospitanija* trzeba było poznać i ten środek wychowawczy. Nie było mi sądzone jednak na tym zakończyć edukację sowiecką, gdyż pół roku jeszcze musiałam przebyć na wolności, zanim dostałam się do Wojska Polskiego. Okres ten uważam za najcięższy do przeżycia, mimo pozornej swobody i możliwości pracy i zarobkowania. Spędziłam go w pow. Turkiestan, Kanczuk-sowchoz, Kuszata nr 1, Burgiem. Dwukrotnie wносиłam podanie o przyjęcie mnie do Pomocniczej Służby Kobiet i dopiero 29 lutego 1942 roku otrzymałam telegraficzne wezwanie mnie do sztabu armii w Jangijul.

a) Więzienie w Mińsku odznaczało się nadzwyczajną pojemnością. W celi 3 na 5 metrów mieściło się pięć łóżek żelaznych, *parasza*, *tumboczka* i 16 kobiet, które spały po dwie i trzy na łóżkach, reszta na podłodze w przejściu i na progu, albo dyżurowały na *paraszy* na zmianę. W innej celi, nieco szerszej, już bez łóżek, leżałyśmy po dwadzieścia kilka w dwu rzędach, stykając się nogami podkurczonymi. Niebezpiecznie było podnieść się w nocy z jakichkolwiek bądź powodów, gdyż miejsce natychmiast „zapływało” i nie chcąc wywoływać grubszej awantury, człowiek musiał siedzieć na *paraszy* do rana, chyba, że kto inny go zwolnił. Posadzka cementowa mokra była od wilgoci spływającej po ścianach. W dowód wielkiej łaski, za dobre zachowanie się, otrzymałyśmy cztery czy pięć podartych koców, które rozścieliłyśmy na podłodze. Do przykrycia nie miałam nic, bo nawet mój żakiet kostiumowy, podbity futerkiem, zabrano mi do składu (ze względów higienicznych) na przechowanie. Korzystałam z przykrycia sąsiadki. W niektórych celach leżały deski na cemencie, co uważałyśmy za wyjątkowe udogodnienie, gdyż one nie tylko izolowały nas od zimna i wilgoci, ale służyły również jako materiał do robienia igieł, drutów, szydełek itp. Pożywienie otrzymywałyśmy z rana, około 600 gramów (po sądzie – 700) ciężkiego, czarnego chleba, dwa kawałki cukru (przez pierwszych parę miesięcy) i wrzątku, ile kto chciał. W południe i wieczorem zupę (krupnik z pęczaku, jagieł lub przepołowionego owsa, szczy ze zgniłej kapusty i barszcz). Początkowo można było znaleźć w zupie jakiś owłosiony ochłap, oko lub zęby zwierzęcego pochodzenia, często kamsę, małą cuchnącą rybkę, której

zapach przyprawiał nas o mdłości. Ponieważ zapas glinianych miseczek nie wystarczał na wszystkich więźniów, jedzono celami po kolei z tych samych naczyń, często niemytych. Najbardziej brakło nam jarzyn, owoców i tłuszczu, toteż po paru miesiącach zaczęły się ukazywać wysypka, wrzody i inne objawy awitaminozy, leczone u niewielu witaminą C lub cebulą, która zresztą, jak tylko pokazała się w celi, to nie było ceny na to, żeby zdobyć choć kawałek dla polizania lub powąchania przynajmniej. Z czasem zaczęły się pojawiać inne choroby, jak biegunka, świerzb i ogólne wyczerpanie nerwowe. Od czasu do czasu wypuszczano po kilka osób do lekarki, która po powierzchownych oględzinach albo na oko oceniała, czego pacjentce brak i odsyłała z powrotem do celi. Zimą rzadko (raz na miesiąc), latem częściej wyprowadzano nas na 10-, 15-minutowe spacerunki, po których wracaliśmy jeszcze bardziej zgnębione fizycznie i duchowo.

Plagą więzienia były pluskwy. Jedna z więźniarek, adwokat z cywila, „unieszkodliwiła” w przeciągu mniej więcej godziny sto kilkadziesiąt pluskiew, wędrujących po ścianie od sufitu do naszych legowisk i z powrotem. Mniej groźne były wszy, jako że każda z nas, mając wiele czasu, starannie się obszukiwała. Nauczyłyśmy się odróżniać miejscowe od przyjezdnych, określając ich pochodzenie po smukłości linii, zakończeniu odwłoka, kolorze skóry, sposobie poruszania się i złośliwości. Najwięcej jednak męczarni sprawiało nam załatwianie potrzeb naturalnych. Dwa razy na dobę wyprowadzano nas do *ubornoj*, gdzie były dwa krany i trzy otwory ustępowe. Podłoga cementowa lekko spadała do środka, gdzie znajdował się otwór ściekowy. Myłyśmy się nago w lodowato zimnej wodzie, gdyż była to jedyna podniecita organizmu do życia i funkcjonowania. Na całe „oporzędzenie się” dawano nam 10 – 15 minut, co uważaliśmy za duży przywilej, mężczyźni bowiem, których było więcej, mieli na to mniej czasu. Skutki tego pośpiechu widniały pod ścianami *ubornoj*, a chcąc jako tako wytrzymać, musieliśmy je własnoręcznie sprzątać. Gorzej było, gdy rury kanalizacyjne zatkały się – wtedy na podłodze tworzyło się jezioro, którego wody nierzadko płynęły wzdłuż korytarza, a czasem dostawały się nawet do pobliskich cel. Mimo wszystko *uborna* była marzeniem wszystkich więźniów, gdyż tam tylko mogły być zaspokajane, prócz potrzeb fizjologicznych, również potrzeby duchowe człowieka – utrzymywano kontakt z innymi współtowarzyszami niedoli, zdobywano wiadomości polityczne, przesyłano sobie prezenty, pocztę, chleb, odnajdywano krewnych, znajomych, pocieszano się nawzajem. Ściany starannie pobielane, po kilku dniach pokrywały się znowu napisami w różnych językach, umówionymi znakami, alfabetem Morse’a itp. Ryto w ścianie szkłem albo gwoździem, później, gdy do więzienia

w Mińsku wpadła większa liczba żołnierzy i oficerów sowieckich, pozostało po nich trochę ołówków, strzeżonych jak największy skarb. Za pisanie lub czytanie groził karcer, nikogo to jednak nie zrażało.

Reżim więzienny zabraniał leżenia lub spania w dzień, głośnych rozmów, śpiewu, płaczu i modlitwy. Od godziny 4.00 (*podjom*) do 21.00 musiałyśmy siedzieć i rozmyślać, a było nad czym. Każda wiadomość z *ubornoj* lub wystukana przez sąsiadów dawała temat do niekończących się dyskusji, wniosków i perswazji. Najciekawszy był zwykle powrót ze śledztwa, choć i najbardziej denerwujący. Wzywano delikwentkę zwykle przed kolacją, wracała przeważnie około 2.00 lub 3.00 nad ranem. Rzadko odbywały się przesłuchania dzienne; noc była lepszym sprzymierzeńcem naszych sędziów. Wywołana, udawałam się z dozorcą do portierni, do pokoju jednego ze *slidowatieli*, siadałam na stołku z rękami złożonymi na kolanach i czekałam. Następowala mniej lub więcej burzliwa indagacja, zależnie od humoru czy też metody, którą na ten raz stosowano. Było ich kilka – zależnie od potrzeby próbowano każdej. Mnie najpierw straszono, że mnie natychmiast rozstrzelają (towarzyszył temu wymowny gest rewolwerem), że zgniję w więzieniu, że poddadzą torturom, o jakich świat nie słyszał, grożono pięścią pod nosem – ale nie bito. Obrzucano mnie wyzwiskami i przekleństwami, które nie nadają się do powtórzenia, a które przeważnie towarzyszyły śledztwom, a raz nawet stanowiły jedyny temat krótkiego wprowadzie, bo około godzinę trwającego, posiedzenia. Szantażowano mnie rodziną, obiecywano mi wolność, małżeństwo i pracę *po specjalności* w Sowieckim Sojuszu. Zapewniano, że Polski już nigdy nie będzie, bo to śmieszne państwko było tylko głupim wymysłem traktatu wersalskiego. Do wściekłości doprowadzało ich twierdzenie, że Polska jest i będzie, bo ma swój rząd, swój naród, a tylko chwilowo ziemie jej okupują sąsiedzi, ale i to przetrwamy. Odpowiadano, że rząd nas sprzedał Niemcom, naczelny wódz uciekł, a my wszyscy zginiemy w tiurmach i łagierach. Jest gdzieś tam wprowadzie gen. Sikorski, ale oni go dostaną i w klatce obwozić będą po świecie i pokazywać „polskiego brata”. Inni, bardziej ugodowi, mówili, że Polska będzie, ale czerwona, włączona do ziem sowieckich, gdyż tylko oni mogą zapewnić każdemu wolność, ład i bezpieczeństwo. Jeszcze przed wojną niemiecko-bolszewicką twierdzili, że Hitler jest też śmiertelnym wrogiem i prędzej czy później będą się bić z nim tak długo, aż w Niemczech wybuchnie rewolucja i wtedy bez przeszkód Armia Czerwona zajmie sprzyjającą im Francję, komunistyczną Hiszpanię i w ten sposób staną się panami całej Europy. Bywało też, że rozmawiali ze mną po ludzku. Wypytywano mnie o stosunki w Polsce,

zwłaszcza gospodarcze, o szkolnictwo, [nieczytelne], sztukę i sport, dyskutując, lecz przy tym łowiąc wszystko, co się na ten temat mówiło. Bardzo niedowierzająco odnosili się do wyjazdów za granicę, a ponieważ jeden z moich paragrafów tego właśnie dotyczył, musiałam szczegółowo odpowiedzieć, kto mnie wysłał i po co, kto płacił za mnie, jak przeszłam granicę, gdzie mieszkalam, co robiłam itp. Naśmiewali się z religii i obrzędów kościelnych, próbowali wszczepić idee [nieczytelne], Marksa i Lenina – wiarę w siłę pięści i młota. Na śledztwach bito. Nocą w celi lub w czasie przesłuchiwań dochodziły mnie odgłosy uderzeń i jęki katowanych ofiar, wrzask *sliedowatieli*, płacz kobiet i dzieci. Codziennie, tkwiąc przy dziurce w drzwiach specjalnie w tym celu zrobionej, widziałyśmy przechodzących do ubikacji mężczyzn z obandażowanymi głowami. Wiedziałyśmy, co to znaczy, ta dziurka zdradzała nam tajemnice męki, głodu i upodlenia, bo widziałyśmy też takich, którzy wychodzili z celi lub zostawali na korytarzu dla doniesienia czegoś dozorczy.

Przykro było patrzeć na dzieci od lat ośmiu, dziewczęta i chłopców, tzw. *bezprizornych*, bez rodziców i opieki, małe włóczęgi, którym więzienie musiało zastąpić szkołę, dom i ciepło rodzinne. Słyszając głośne rozmowy prowadzone pomiędzy celami, mimo woli poznawałyśmy świat i życie sowieckie, dotychczas nam nieznane, i zaczynałyśmy rozumieć dozorców i *sliedowatieli*, których większość rekrutowała się spomiędzy nich.

Stosunek władz naczelnych więzienia do nas był pozornie życzliwy i wiele obiecujący, ale większość z nas ani wysłać listu, ani żadnego kontaktu z domem nawiązać nie mogła. Pod koniec roku kazano nam pisać do rodzin po odzież, bieliznę i obuwie, odpowiedzi na to jednak nie otrzymałyśmy. Raz trzydniową głodówką spowodowałyśmy przyjście naczelnika, lecz na naszą prośbę, aby zabrał z celi dwie wariatki, doprowadzające nas do szału swoim zachowaniem się – na drugi dzień dodał jeszcze kilka kobiet. Każda prośba odnosiła przeważnie wręcz odwrotny skutek.

Na śledztwo wzywana byłam 16 razy, wyrok odczytał mi jakiś starszy sędzia, sam jeden, bez asysty. Z treści zrozumiałam, że skazano mnie zaocznie na osiem lat *isprawitielno-trudowych* łagierów w Karagandzie, Kazachstan. W osobnej celi dla osądzonych zbierano nas do transportu i w marcu 1941 roku wywieziono.

b) Łagier – niełatwo było dostać się do niego. Podróż trwała cztery tygodnie. Bydłące wagony, tzw. *tiepluszki*, z piętrowymi narami, których deski pokryte kilkucentymetrową

skorupą lodową dopiero pod wpływem naszego ciepła odtajały, piecyk żelazny pośrodku, od czasu do czasu węgiel, [nieczytelne], chleb, woda, rzadko kiedy zupa. Dwa razy dziennie sprawdzanie obecności. Głód, smród, zimno, do tego wieczne kłótnie i swary dochodzące nieraz do bójek – oto obraz miesięcznej podróży do Karabas. W trzy dni po wyjeździe przerwano nam podróż na kąpiel i dezynfekcję. Bania z gorącą wodą była tak pożądana, że nawet wyłącznie męska obsługa nie wywołała protestu z naszej strony. W drodze powrotnej przechodziłyśmy obok więźniów siedzących w kucki na śniegu przed pociągami i czekających godzinami swojej kolejki, co zresztą i nas nie ominęło. Karabas, mała stacyjka w stepie, w niewielkiej odległości od niej rozrzucone obozy, otoczone podwójnym opłotem drutu kolczastego, z „gołębnikami” dla strażników i na wpół rozwalonymi lepiankami dla więźniów. Kilka porządniejszych domów dla naczalstwa – i znów to samo. Piętrowe nary, zapluskowane tak, że gdy od dołu uderzyła która nogą w sufit, to spadał grad pluskiew. Dwa razy dziennie jedzenie z brudnych misek i dalsze czekanie. Żadnej pracy ani zainteresowania, tępa bezmyślność i apatia. Ożywiały nas jedynie chwile karmienia lub walka o lepsze miejsce na spanie. Pomieszano nas z Rosjankami, które zaczęły uprawiać kradzież i pokątny handel, wyłudzając od nas wszystko, co się dało i za wszelką cenę, aby tylko móc się wystroić w płaszcz, chustkę lub beret polskiego pochodzenia. W kilka tygodni później wezwano mnie na wyjazd. Po ciężkich tarapatach marszowych, o których wspomniałam na początku, dotarłam wreszcie do Prystorny. Szliśmy już razem z mężczyznami. Charakterystyczne, że na każdym postoju jeden (lub jedna) z tych ludzi zbierał słuchaczy i rozpoczynał opowiadanie bajki, treści jakiejś kryminalnej powieści lub własnych przeżyć, silnie podkreślając tendencje komunistyczno-propagandowe.

W Prystornie wyznaczono nam barak niski, brudny i ciemny, bez łóżek i pryczy. Nazbierałam w polu świeżej trawy, aby nie leżeć wprost na mokrej ziemi i urządziłam poślanie. Obok mnie leżało kilka rzędów kobiet w łachmanach. Nazywano je *monaszkami*, gdyż od dwu czy trzech lat odmawiały pracy i tylko się modliły. Co dzień rano przychodził *brygadir*, sprawdzał, kto idzie do pracy i pędził na śniadanie (pół litra zupy). Nie można było uskarżać się na brak urozmaicenia – rozkopywaliśmy śnieg, oczyszczaliśmy niesamowicie zabrudzone podwórko, zasypywaliśmy na cmentarzu trupy, które słońce wiosenne wydobyło spod pokrywy śniegowej, naprawialiśmy mosty, zawalone chałupy itp. Wszędzie zbyt ciężko na nasze nadwątłone siły i umiejętności. Zaczęłam [nieczytelne] wszechwładną „normę”, którą za wszelką cenę trzeba było osiągnąć, aby chociaż raz mieć pretensje do 800 czy 900



gramów chleba i zupy na śniadanie i obiad. Ci, którzy normy nie osiągal, dostawali tylko 700 lub 500 gramów chleba, a ci, którzy odmawiali pracy, 300 gramów chleba i raz dziennie zupę. Stachanowcy i traktorzyści dostawali 1200 gramów chleba, jedzenie z trzeciego kotła i możliwość kupienia sobie czegoś w „Tarku”.

Skoro tylko step się zazielenił, zostałam wysłana na owczą fermę (nazwy nie mogę sobie przypomnieć). Pomieszczenie takie samo, wspólne z mężczyznami. Przez pierwsze dni w ogóle nie dostawaliśmy jedzenia. Jedna z „towarzyszek” zbuntowała wszystkich, aby nie szli na [nieczytelne]. Nie wiedziałam, czym to pachnie i zresztą musiałam być solidarna, bo byłam wśród nich sama jedna. W końcu głód zmusił nas do wyjścia na pracę. Dostaliśmy ciężkie motyki, którymi trzeba było wyrwać krzewy rosnące na stepie, wysokości człowieka, bardzo twarde i łukowate, w rodzaju naszej akacji. Norma dzienna pięć metrów sześciennych na człowieka. Rąbałam też *karagannik* przez 10 dni aż mi palce ze stawów powyskakiwały i spuchłam jak kłoda. Wtedy przydzielono mnie do owiec. Pałam matki z młodymi, pomagałam czabanom paść wielkie stada, wybierałam i suszyłam kiziak (owczy nawóz), lepiłam stajnie, dozorowałam stada w nocy, strzygłam, kąpałam, nie mogłam się tylko nauczyć doić owce. Dwa tygodnie spędziłam na sianokosach, gdzie od świtu do ciemnej nocy pracowałam na grabiach i przy zwózce siana. Gdyby nie to, że ciągle byłam głodna i zmęczona, że czułam na każdym kroku stupajkę z całym repertuarem wyrażen sowieckich znanych mi już z więzienia, że byłam otoczona gromadą złodziei i oprychów najgorszego gatunku – okres ten zaliczyłabym do najlepszych z całego czasu pobytu mojego w ZSRR. Polaków ze mną było tylko dwóch.

Na miesiąc przed wypuszczeniem na wolność powołano mnie z powrotem do Prystorny pod tzw. *konwojkę*, bez żadnego powodu – dość duży budynek z różnymi zakamarkami, z niedużym podwórkiem i wspólną ubikacją, obwiedziony drutem kolczastym, strzeżony przez *strietków* i psy. Zastałam tam już sporo Polaków i najgorszy element rosyjski – młodzież *bezprizorna*, uprawiająca zawodowo kradzież, stręczycielstwo, nierząd i paserstwo. Nikt nie był pewny swojego mienia, a nawet życia. Ze zdumiewającą zręcznością wyciągali w nocy spod śpiącego wszystko, co chcieli i natychmiast wynosili poza druty lub ukrywali w [nieczytelne] w dziurach lub ubikacji. Mnie, chociaż mało miałam, okradziono pięć razy (buty, pończochy, mydło, szczotka do zębów, spódnica, koc i chustka, które się potem znalazły).

Izbę przeznaczoną dla kobiet zajęły te młode przestępczynie w wieku od 16 do 25 lat, tworząc tzw. *szalman*. Żadna z nas nie miała odwagi wejść tam przenocować, spałyśmy pod gołym niebem, pokotem pod ścianami, mężczyźni i kobiety, bez różnicy. Co noc prawie budziły nas wrzaski i przekleństwa dziewcząt bitych, kopanych i ciągnionych za włosy przez *striełków* lub *naczalnika* kontrolującego baraki.

Pod strażą uzbrojonego konwojenta wychodziliśmy na prace w polu, na taką przy gnoju, przy kiszeniu paszy dla bydła itp., potem wracaliśmy na żarcie i wypoczynek. Zatraciłam poczucie człowieczeństwa i rzeczywistości. Zdawało mi się, że przeżywam koszmarny sen, który się nigdy nie skończy. Żadnych wieści, żadnej nadziei. Wreszcie zwolniono mnie i w kilka dni potem odczytano amnestię. Po zdaniu wypożyczonych rzeczy odstawiono nas jako wolnych obywateli polskich do Karabasu.

Stosunek władz sowieckich po amnestii zmienił się nieco na lepszy, natomiast więźniowie sowieccy okazujący nam dotąd wiele współczucia i życzliwości, ustosunkowali się niemal wrogo. Trzy dni oczekiwania w wilgotnych norach Karabasu, wymiana obuwia i pończoch, otrzymanie dokumentów, żywności i stu kilkunastu rubli na drogę i wreszcie swoboda.

c) Wybrałam na chybił trafił Turkiestan. Kilkadziesiąt osób z Karabasu wyjechało w tym kierunku. Pociągi bardzo przepełnione, nikt nas nie eskortował i nikt nie szukał miejsca dla nas. Odczułam to dotkliwie podczas całej podróży na południe. W pociągach obywatele sowieccy odsuwali się trochę od nas, ciekawie nas obserwując i ciągle tylko przestrzegali przed złodziejami. Że radzili dobrze, poznałam to na własnej skórze w Aktiubińsku, gdzie wyciągnięto mi z kieszeni własnoręcznie zrobiony portfel z rublami i *udostowierienijem*. Te ostatnie zwłaszcza ściągano bez litości i sprzedawano potem za grube pieniądze. Kilka przymusowych przesiadek dla *kompostirowki* (ostemplowania) biletów, pozwoliło przyjrzeć się porządkowi ruchu kolejowego w ZSRR. Tysiące ludzi z dziećmi i bagażami schowane w ogródkach dworcowych. Nieskończenie długie ogonki stoją przed okienkami po kilka lub kilkanaście godzin po to, aby w końcu usłyszeć, że bilety w tym kierunku będą sprzedawane gdzie indziej. Krzyk, gwałt, rwetes – cały tłum leci do innego okienka i znów czeka długie godziny. Z ogonków wynoszą ludzi zemdlonych lub zduszonych. Pociągi odchodzą z pustymi wagonami z niewiadomych przyczyn. Poczekalnie na dworcach czyste i puste, niedostępne dla tłumu, tylko dla wybrańców. Do przejazdu potrzebne zaświadczenie z *san-obrabotki*, kto ma pieniądze, może sobie kupić je za parę rubli, kto nie ma – czeka dniami całymi na



swoją kolejkę w bani lub wagonie kąpielowym. Jedzenia nie ma gdzie kupić. W mieście przed sklepami z chlebem kolejki ustawiają się na kilkanaście godzin przed otwarciem i też nie ma pewności, czy wystarczy dla wszystkich. Na głodno dojechałam do Turkiestanu, powiatowego miasteczka w południowym Kazachstanie. Wsiadłam razem z innymi i znów rozłożyliśmy się w ogródku, nie wiedząc, co z sobą robić. Na szczęście zainteresowało się nami miejscowe NKWD, sprowadziło nas do miasta i zainstalowało w obozie. Leżeliśmy starym zwyczajem przez kilka dni aż przyjechał agent z Kanczuk-sowchozu i zabrał nas ze sobą. Wyjeżdżali przeważnie chłopcy i kobiety mało inteligentne. Z braku pieniędzy musiałam wyjechać z nimi. Wysłałam przez *wojenkomat* podanie o przyjęcie mnie do Wojska Polskiego i wyruszyłam w dalszą tułaczkę. Dojechaliśmy do Burgiem, osady kozackiej na plantacji kauczukowców. Szkoła, naczalstwo, kilkanaście nowych domów dla robotników i stare lepianki tubylców. *Naczelnik* sowieckiego *choziajstwa* i agronom – Ruscy, reszta Kazacy. Spisano nas, rozdzielono i od razu wyznaczono do pracy przy [nieczytelne] kauczuku. Polegała ona na spulchnianiu ziemi i wycinaniu niepotrzebnych roślin. Norma była tak wysoka, że początkowo nikt z nas i połowy nie wyrabiał, później przy mniej starannej robocie dociągało się do normy, ale wszystko to zależało od *brygadira*, który ją oceniał. W każdym razie od pracy zależały zarobki, od zarobków możliwość utrzymania. Nikt już o nas nie myślał, trzeba było polegać na samych sobie. Wikt w *stołowej*: dwa razy dziennie zupa po 10 do 30 kopiejek za porcję. Chleb w „Tarku” po 800 i 600 gramów, czasami sprzedawano mydło lub cukier w minimalnej ilości. Po skończeniu [pracy przy] kauczuku Polacy jako uczciwi robotnicy przeszli do ogrodu na zbieranie pomidorów i roślin okopowych. Resztki melonów i kawonów, które w drodze łaski pozwalano nam brać, pieczone kartofle i buraki, pomidory i ogórki dawały rozkoszy tak wiele, że chociaż praca była ciężka i prawie bez wypoczynku (każdej niedzieli pracowało się dla *Krasnej Armii*), można było żyć. Po ogrodach zajmowałam się jeszcze zbieraniem nasion kauczuku – praca lekka i popłatna, wyrabiałam nawet ponad normę (1 kg). Ten błogi okres trwał do pierwszych deszczów (końca października). Praca na polu się skończyła. Próbowaliśmy jeszcze kopać kauczuk, ale było zimno i mokro i po dwóch dniach dali nam spokój. Mężczyźni poszli na *domostrojki*, gdzie można było nieźle zarobić, kobiety siedziały w domu i przejadały swoje ostatnie grosze. Chodziłyśmy jeszcze ciąć piołun na „tapkę” ale norma była taka, że zarabiano się po kilkadziesiąt kopiejek. Zresztą ubranie i obuwie zdarło się doszczętnie, a nie było gdzie kupić nawet szmat na łatanie i onuce. Na dobitkę przyjechało w tym czasie do Burgiem około 150 Polaków, przeważnie mężczyzn szukających wojska i kilkanaście rodzin polskich i żydowskich. Po kilkutygodniowej tułaczce

NKWD skierowało ich do naszego sowchozu. Wysiedleńcy w krótkim czasie wykupili lub wymienili wszystkie zapasy prywatne miejscowej ludności, a zapasy sowchozowe musiano rozdzielać pomiędzy wszystkich. Jedni nie chcieli, drudzy nie mogli pracować. Mężczyźni jadący do wojska pozostawiali swoim rodzinom wszystko, co mieli lepszego, a sami przyjechali jak nędzarze bez butów, koszul i ubrań. Kazachów ściągnięto do lepszych domów, naszym oddano po nich brudne i puste lepianki. Rozpoczął się okres głodu i chorób. Usłyszeliśmy wtenczas coś o delegaturze, a nawet przyjechał sam delegat, przywożąc na sto kilkadziesiąt osób sześć par skarpet, jedną piżamę, jeden sweter, jeden szlafrok i parę koszul. Nie uzdrowiło to ludzi z przeziębień. Na kradzionym sianie, w chlewach, ludzie leżeli jak bydło w brudzie i nędzy, przeżywając różne zapalenia, anginy, malarie bez żadnej opieki lekarskiej i pomocy ze strony władz. Dopiero jak zaczął szerzyć się tyfus plamisty, sprowadzono siostrę i chorych zaczęto zabierać do szpitala. Wkrótce i tam zabrakło miejsca, więc naczalstwo oddało jeden dom we wsi na izolatkę dla chorych. Obsługi podjęły się trzy panie wyznaczone przez delegata i wszystkie trzy równocześnie zapadły na tyfus, a jedna, która ich doglądała (żona por. Burszłyna), zmarła, zostawiając dwoje dzieci na opiece boskiej. Zmarł również sędzia Stafiński i inż. Zbonikowski, ale mnie już tam nie było, gdyż na krótko przedtem wyjechałam do armii.

Nie mogłam znaleźć żadnej pracy. Próbowалам dostać się do szkoły na nauczycielkę języka [nieczytelne], ale mnie ubiegł ruski Żyd, wysiedleniec. Robiłam skarpetki i rękawice z wełny dla Kazachów, niewiele mi to dało zarobku i też się skończyło. W grudniu zachorowałam na żółtaczkę i dwa tygodnie przeleżałam w szpitaliku. Obchodzono się ze mną dobrze. Powróciłam do domu słaba i kompletnie załamana psychicznie, bez grosza i jakichkolwiek widoków na przyszłość. Nie mając innego wyjścia, przyjąłam służbę u chłopca, który zarabiał tyle, że mógł zapłacić za chleb i zupę dla mnie, a w zamian za to prałam i łątałam jego brudne szmaty i tłukłam wszy, których w takiej ilości nigdy w życiu przedtem ani potem nie widziałam. Spadłam na dno nędzy i zwątpienia, zdawało mi się, że nie ma dla nas ratunku.

Ratunek dla mnie przyszedł. Z początkiem stycznia rozpoczęto kurs dla traktorzystów, na który zostałam przyjęta. Wykłady odbywały się w języku kazachskim ale były na takim poziomie, że i bez języka zrozumiałam wszystko, a egzamin zdałam na *otliczno*. Najważniejsze, że uznano mnie za pracującą i wypłacono kilkadziesiąt rubli, za które można było żyć. Miałam z tym potem kłopot, bo mnie dyrektor sowchozu nie chciał puścić do wojska, twierdząc, że za dużo państwo sowieckie kosztowałam i muszę

odpracować, ale zobaczywszy depezę ze sztabu w Jangijul, wzywającą mnie do stawienia się, więcej nie oponował.

Okres swobody był dla mnie najcięższy do przeżycia. W więzieniu i łagierach należałam do kategorii pozbawionych wolności i praw obywateli, ludzi, których się izoluje od normalnych obywateli. Pół roku przebywania na wolności rzuciło dużo światła na społeczeństwo sowieckie i panujące w nim stosunki. Wszędzie panuje wyzysk, gwałt i przemoc. Nie ma rzetelnej i uczciwej pracy, wszystko robi się na efekt. Plan i norma to są zmyślenia kierowników i ludzi pracujących. Wszelkie środki dla osiągnięcia tego celu są dozwolone. Nie ma poszanowania pracy ani własności państwowej czy prywatnej. Widziałam nowe pługi i części maszyn porzucone na polu na całą zimę, traktory stojące na deszczu bez żadnego zabezpieczenia, cenny kauczuk, wykopany przez nas, rozrzucony po polu (niedociągnięta norma).

Kazachowie nienawidzą ustroju sowieckiego. Każdy z nich marzy o dawnych stadach baranów i wielbłądów, dywanach, pełnych kufrach i pełnym brzuchu. Uświadczenie narodowe bardzo duże. Wieści o sukcesach niemieckich wzbudziły wyraźne zadowolenie. Pytali tylko, czy Niemcy uznają prawo własności i czy prędko mogą przyjść. Nadprogramową pracę dla *Krasnej Armii* wręcz bojkutowali i krzywym okiem patrzyli na nas, którym jako kombatantom iść wypadało. Złodziejstwo karane jest bardzo surowo w najdrobniejszych jego przejawach i to samo złodziejstwo uprawiane jest na wszystkich szczeblach społecznych. Protekcja i przekupstwo decydują przeważnie o stanowiskach. Szerokie masy cechuje brak inicjatywy i myśli twórczej, bierność, fatalizm i pozorne czy też istotne pogodzenie się z losem. Życie na swobodzie jest gorszym wydaniem łagierów, nad którym wszędzie czuwa wszechwładna pięść NKWD

Miejsce postoj, 14 marca 1943 r.